Rozdział 1

Z okresu przed datowaniem

Nigdy nie wyobrażałam sobie, że pojadę do Pakistanu. Zanim poznałam Księcia, o Pakistanie pomyślałam tylko raz. Jakiś kolorowy magazyn publikował zdjęcia ze ślubu pewnego pakistańskiego bogacza. Artykuł zapewne też tam był, bo kojarzyłam, że Pakistan nie sympatyzuje szczególnie z Indiami. O partycji (podziale Indii Brytyjskich na Indie i Pakistan) też coś tam było, aczkolwiek szczególne wrażenie wywarły na mnie zdjęcia. Były kolorowe i dużo się na nich świeciło. Moja hodowana od dziecka wewnętrzna sroka była zafascynowana w stopniu wykluczającym racjonalne zgłębianie tematu.

Kiedy z kolei poznałam Księcia – pięknego jak z bajki (dlatego tak go nazywam) i boleśnie rozpieszczonego – i w okolicznościach kuchenno-akademikowych zadałam mu pytanie, w jakim to kraju tak piękne aniołki z nieba spadają, pognałam do mojej celi, by wygooglować „Pakistan". Trochę wstyd. Ale nie było aż tak źle, bo mogłam kojarzyć ten kraj tylko z talibami i ogólną kwintesencją zła. Było to kilkanaście lat temu i jakoś nie każdy był wtedy domorosłym specjalistą od spraw terroryzmu. Z doczytanych informacji wynikało, że ów opierający się

nonszalancko o kuchenną szafkę i popijający mleko prosto z butelki Adonis prawdopodobnie jest muzułmaninem i do tego może nawet obściskuje się z kolegami. Wszak w Pakistanie panowie są ze sobą bardzo blisko. Kobiet w miejscach publicznych przytulać nie mogą, to chociaż kolegów, którzy są w tej samej sytuacji… Podsumowując, moja wiedza na temat Pakistanu pozostawiała wiele do życzenia. I jest to chyba duże niedopowiedzenie.

W ramach rozwoju znajomości, a następnie romansu z Księciem, puste kartki zapełniały się w dość przyzwoitym tempie. Kiełkowała nawet we mnie chęć zobaczenia „tego wszystkiego" na własne oczy, ale… rodzice. Szantaże emocjonalne wymagające obietnic, że nigdy, że co by się nie działo, w żadnym wypadku i w ogóle do Pakistanu nie pojadę. Książę to dobry chłopak, ale z pewnością ma w mózgu chip, który się uaktywnia po przekroczeniu granic terytorialnych kraju rodzimego i zmienia go w zniewalającego – w złym i dosłownym tego słowa znaczeniu: mordującego, trzymającego jeńców w piwnicy i kradnącego paszporty – potwora. W każdym razie lepiej tam nie jechać. Przynajmniej przed sześćdziesiątką, bo potem to już mnie chyba nikt przemocą zniewalać chciał nie będzie. Zresztą nieważne. Jakimś cudem po latach romansowania (również, a może nawet głównie, na odległość) Książę uczynił ze mnie uczciwą kobietę. A przynajmniej zrobił to, co w teorii miało uczynić ze mnie uczciwą, stateczną kobietę. Wyszło, jak wyszło. W międzyczasie kuzynka Księcia została przyrzeczona jego kuzynowi i podjęto decyzję o jak najszybszym ślubie. Chodziło o to, żeby Sehr (kuzynka) nie zdążyła dorosnąć na tyle, by mieć czelność wyrażać własne zdanie i stwierdzić na przykład, że ona takiego tłustego, zgnuśniałego i rozpieszczonego knura za męża i we własnym łożu nie chce.

Teraz czas na pierwszą dygresję, których na kartach tej książki będzie zatrzęsienie. To nie jest kazirodztwo *per se*. Tam kuzynów ma się

ilości znaczne i stopień procentowy tego ukuzynowacenia jest różny. Póki pamiętam, opiszę mniej więcej tę część rodziny Księcia, którą w miarę ogarniam umysłowo.

Odpuszczę sobie przy tym wchodzenie w rodzinne skandaliki, bo chyba mi tak naprawdę nie do końca wypada. Poza tym to nie ma być scenariusz Dynastii. (Szepnę tylko, że niektóre z nich są naprawdę zachwycająco soczyste!) A to i tak tylko rodzina ze strony mamy mamy (po podwójnej kądzieli?). Aczkolwiek tata mamy też jest fajny i ma fajnego brata, który ma niefajną żonę, ale o tym chyba później.

Nie mam pomysłu, jak to opisać klarownie, więc nie będzie klarownie. Będzie chaotycznie. Spróbuję pokoleniami. Może się uda, a wyjdzie, co wyjdzie. Można robić notatki, względnie podejmować próby rysowania drzewa genealogicznego. Osobiście na tym poległam. Może rysownik, któremu niestraszna była genealogia Targaryenów, byłby skłonny się tego podjąć? Choć szczerze mówiąc, wątpię.

Tytułem wstępu: Książę ma trzy siostry, wszystkie młodsze. Najstarsza, Kiran, ma lat chyba dwadzieścia cztery i męża Shamsa, który jest niczym typowy amerykański *wanna-be-frat-boy*. Podczas naszych pierwszych spotkań wkurzał mnie kosmicznie. Na przykład w meczecie podczas mojego ślubu dłubał sobie między palcami u stóp, a z wydłubanych substancji toczył kulki i się nimi bawił. Teraz mnie już tylko lekko śmieszy. Jest jeszcze o rok tylko młodsza od Kiran Maria oraz najmłodsza, siedemnastoletnia, bardzo skupiona na mediach społecznościowych i byciu modnym Fahra.

To teraz idziemy „w górę". Zacznijmy od tego, że Mama Księcia (zwana dalej Teściową) miała dwójkę braci. W pierwszej kolejności weźmy może na warsztat tego młodszego – nie ma dużego wpływu na rozwój wydarzeń, więc odfajkujemy go i będzie z głowy. Sam stanowił głównie element antydekoracyjny, przewalając swoje obfite ciałko po kanapach w różnych sceneriach i specjalnie się nie udzielał.

Jest raczej typem histerycznego, ale sympatycznego nieudacznika. Jego żona jest jedną z najdziwniej wyglądających osób, które w życiu poznałam. Jest strasznie brzydka – w stylu upiorzyc i czarownic z bajek. Mogłaby je grać praktycznie bez charakteryzacji, ponieważ ma taaakie oczy, taaaki nos i taaakie dziwne zęby. W ogóle cała jest taaaka dziwna i w dodatku bardzo ekstrawagancko się ubiera i maluje. Ale! Czasami, patrząc na nią inaczej, pod jakimś kątem, w innym oświetleniu, zastanawiałam się, czy cała ona nie jest przypadkiem na swój sposób piękna… Dziwna sprawa. Ją chyba lubię. Chociaż gdy ją poznałam, na domiar złego chrypiała upiornie i byłam pewna, że to jest jej normalny głos. Okazało się jednak, że akurat była chora. W każdym razie para ma dwie córki. Starsza z nich to około dziesięciolatka, młodsza – któż to wie. W sumie nawet je lubię, bo wydają się lekko wycofane i niezaangażowane w ten cały cyrk. Starsza jest fanką piłki nożnej, ze szczególnym uwzględnieniem FC Barcelony. Obie mnie uwielbiają. Starsza za całokształt, a młodsza za to, że powiedziałam mojej Teściowej, że „się nie zna", bo to, co ta dziewczynka miała na sobie, to był strój księżniczki Elsy, a nie Anny.

Starszy brat Teściowej jakiś czas temu wziął był i umarł. I to strasznie przykre, bo to podobno był facet super i ukochany wujek Księcia. Umierając, pozostawił na tym łez padole małżonkę Rubinę (która podobno jest strasznie wygodnicka, a wręcz leniwa, ale którą osobiście bardzo, ale to bardzo polubiłam) oraz trójkę dzieci. Najstarszego, dwudziestojednoletniego Zakiego (potwornie rozpieszczony bachor, typowa zblazowana, bananowa młodzież, król selfie w toaletowych lustrach; kiedy zrozumiał, że nie da rady mi zaimponować, stał się pocieszny i raczej sympatyczny), Sehr (nasza panna młoda – wyjątkowo bystra jak na Pakistankę, ładna dziewczyna z lekko jadowitym poczuciem humoru przytępionym niestety przez społeczeństwo; lubię ją bardzo) i Amira (stosunkowo nowy, chyba czteroletni nabytek – jak na dziecko bardzo uroczy i estetyczny). Tenże brat Teściowej przed śmiercią, choć nieświadomy jej nadejścia, w przypływie

nagłego ogłupienia przyrzekł rękę córki swojemu kuzynowi dla jego niedorobionego i zdemoralizowanego synalka, stałego bywalca londyńskich klubów ze striptizem. Zrobił to prawdopodobnie dlatego, że kuzynowi wiele zawdzięczał.

Owdowiała ciocia Rubina, matka panny młodej, oczywiście także nie była jedynaczką, a jej rodzeństwo pozakładało swoje rodziny. Chociaż w sensie krwistym i genetycznym nie jest to rodzina Księcia, to występują oni w tej opowieści w różnym stopniu zaangażowania. Zresztą, co tam. Jak szaleć, to szaleć. Załatwmy rodzinę cioci Rubiny. Będzie cudownie! Ciocia Rubina ma oczywiście matkę, jakżeby inaczej. Matka sprawia całkiem przyjazne wrażenie. Na powitanie wymacała mi z uśmiechem twarz, chyba w geście błogosławieństwa. Ogólnie taka *desi* babcia. Lubię *desi* babcie. Ciocia Rubina ma trójkę braci, a każdy z nich po jednej żonie (zaznaczam, że po jednej, bo w kulturze muzułmańskiej nie jest to wcale oczywiste – w Pakistanie poligamia nadal jest dozwolona). I, jak to podobno mówią w rodzinie Księcia, dwóm braciom się udało. I rzeczywiście. Żona jednego z braci jest przemiła i w ogóle ma bardzo miłą twarz. Ma też wspaniałe dzieciaki, w tym osiemnastoletnią Amrę, z którą się bardzo uspołeczniałam. (Ale co chwilę musiałam jej przypominać, że mimo jedenastoletniej różnicy wieku, nie jestem z gatunku stabilnych, statecznych cioć). Kolejny brat ma żonę brytyjsko-pakistańską. Jest wielka, cudowna i mówi po angielsku, za co wielbię ją bezgranicznie. Ona z kolei też ma jakieś tam dzieci, w tym dziwnego syna Alego, który się spytał, czemu jedziemy po sok (ze świeżych owoców) dla mnie:

– Bo lubię.

– Ale ja serio pytam.

– A ja serio mówię. Ty lubisz ciastka, a ja soczki.

– *Is it a joke*?

No i jest trzeci syn, którego żona się rodzinie nie udała. Tyle w temacie. Kiedy zupełnie jeszcze nieświadoma powiedziałam do Księcia, że ta ciocia jest dziwna, akcentując słowo „dziwna", by było jasne, że chodzi mi o jego negatywną interpretację, to się zaczął bardzo radośnie śmiać. Później wyszło na jaw, kiedy zazwyczaj sygnalizowałam, że ktoś nie do końca budzi moją sympatię, okazywało się, iż w sumie całej rodzinie też się nie podoba dana osoba.

Skoro rodzinę cioci Rubiny i braci Teściowej mamy mniej więcej z głowy, przeskoczmy pięterko wyżej, do babci Księcia. Mama Teściowej była podobno jakimś nadczłowiekiem, aniołem nie kobietą, intelektualistką, obrończynią praw kobiet, wojowniczką społeczną, mentorką polityków, ulubienicą ludu (ponoć kiedy wracała do miasta po leczeniu operacyjnym w Wielkiej Brytanii, lud witał ją niczym koronowanego władcę z bajek Disneya: procesje, kwiaty rzucane ze wszystkich domów, szał ciał). Do tego wszystkiego miała jeszcze syreni głos, którego uwielbiały słuchać najsłynniejsze *desi* pieśniarki, Owa Babcia Księcia miała też dwóch braci – bardzo znanych graczy hokeja (scharakteryzuję ich w trzech sloganach: złote medale olimpijskie, najsłynniejsza w Pakistanie akademia hokeja i w ogóle WOW!). Ci bracia oczywiście się porozmnażali.

I tak, pierwszy z braci, choć na świat nie wydał, to zapładniając, przyczynił się do stworzenia czwórki potomstwa: synka, który był liderem jednego z najpopularniejszych pakistańskich zespołów rockowych (zespół niestety już się rozpadł, ale synek nadal śpiewa, angażując się w różne muzyczne projekty) i trzech córeczek: Ambrine, Noor i Saffanah. Ciocia Ambrine jest ekstra. To chyba moja ulubiona ciocia. Przede wszystkim jest wyjątkowo piękną kobietą – Książę twierdzi, że po prostu dobrze się starzeje, że kiedyś nie była pięknością. Powiedziałabym, że Książę się nie zna, ale to by chyba źle o mnie świadczyło, więc nie będę drążyć tematu. Teraz jest piękna i już. Jest takim ichniejszym księdzem w spódnicy, co nie przeszkadza jej

być naczelną tancerką w rodzinie – widziałam, jak trzęsie tyłkiem, i muszę przyznać, że jest niezła! Do tego oczywiście śpiewa, gra na bębenku i jest niezwykle sympatyczna. Myślę, że tym, co ją naprawdę wyróżnia, jest zadowolenie z życia. Inne mają więcej pieniędzy, więcej dwudziestoczterokaratowego złota, większe wille, wszystko inne mają większe i lepsze, ale są wiecznie niezadowolone. Tymczasem Ambrine tryska radością i życzliwością. W przeciwieństwie do swoich dwóch sióstr: obrzydliwie bogatej (kupującej w prezencie ludziom domy) Noor i sfrustrowanej, niezadowolonej z męża i życia najmłodszej Saffanah. Oczywiście one też mają dzieci. Dzieci w ogóle jest tam dużo. Nie kłopotałam się przypisywaniem wszystkich do rodziców. Byłby to daremny trud.

Drugi brat Babci Księcia też płodził, a jakże. Jeśli dobrze pamiętam, sprowadził na świat trzech synów. Ta konkretna gałąź jest najbardziej skandalogenna, dostarcza najwięcej materiałów do plotkowania i wyrażania dezaprobaty. Jeden z jego synów, spadkobierca sportowych tradycji, miłośnik wyścigów konnych, doczekał się trójeczki dzieci: wyjątkowo rozrywkowej i krnąbrnej córeczki Mehreen i dwóch paskudnych synków. Z czego starszy, Zain, to właśnie nasz knurowaty pan młody. Drugi syn drugiego brata Babci Księcia (czyli brat ojca pana młodego) to istny Tata Muminek, który ma trzy córki Migotki. Te z kolei od dłuższego czasu wprawiają mnie swoim muminkowym istnieniem na Facebooku w dobry nastrój, zaś matka Migotek jest ponoć najlepszą przyjaciółką Teściowej. Trzeci syn drugiego brata Babci Księcia prowadzi pasożytniczy tryb życia. Ma on pomysłową, szalenie biegłą w sztuce szantażu żonę i średnio rozgarnięte dzieci.

To mniej więcej tyle. Oczywiście rodziny jest znacznie więcej, ale ograniczyłam się do zapamiętywania, że wszystkie – choćby odrobinę starsze ode mnie – kobiety to ciocie (*auntie*), a do facetów i tak nie warto się zwracać. Koniec końców: chodzi o to, że Sehr

miała wyjść, choć niechętnie, za Zaina, który jest jej kuzynem, ale w sumie chyba drugiego stopnia, więc nie jest to aż tak straszne, jak brzmi. Chociaż straszne i tak jest. Ponieważ było to krótko po Księcia i moim ślubie, który wstrząsnął światem cioć i wujków („jak to ślub?" „BEZ NAS?!"), w sumie wypadało, żebym zjawiła się na weselu Sehr. Nie był to nawet taki zły pomysł. W końcu gdybym zwyczajnie pojechała do Pakistanu poznać rodzinę męża, to by się wszyscy na mnie rzucili, a ja bym im padła po dwóch dniach. Teraz z kolei w planie był wielki ślub (*pardon*: skromna, trzydniowa impreza na osiemset osób) i tyle do ogarniania, że nikt nie miałby ani czasu, ani energii, żeby porządnie się na mnie rzucać i zaglądać w moje zachodnie zęby. Wspomniałam mimochodem o pomyśle wyjazdu przy rodzicach i o dziwo się zgodzili. Tak po prostu. Nie wyrazili sprzeciwu. Nie zaczęli snuć wizji moich zniewolonych piwnicznie i pozbawionych paszportu zwłok.

Główna trudność z głowy, czas było stawić czoła kolejnym. *One does not simply walk into Mordor. And one does not simply go to Pakistan*[1]. Potrzebuję wizy. Nie lubię potrzebować wizy. Jestem rozbestwioną obywatelką Unii Europejskiej. Z drugiej strony pamiętam, że po rozmowie o wizę amerykańską czułam niedosyt. Po prostu mi ją dali, nie wypytywali o cały życiorys, nie stawiali oporu. Byłam przygotowana na starcie, nastawiona bojowo, z głową pełną uszczypliwych odpowiedzi. A oni tak po prostu dali mi wizę. Na dziesięć lat. Tak się nie robi. Pakistańczycy mają więcej przyzwoitości. Ze wstępnego rekonesansu w sieci wynikało, że Polakom w ogóle nie dają wiz turystycznych. Internet roił się od przestróg i zaoferował tylko jedną historię wyjątkowo zdeterminowanego chłopaka, który, walcząc z tonami wymaganych dokumentów, w końcu wyżebrał dla siebie upragnioną wizę. Zdecydowanie nie wiało optymizmem.

[1] *One does…* – Nie można po prostu wejść do Mordoru. I nie można po prostu polecieć do Pakistanu.

Nie moje wielkie pakistańskie wesele zaplanowano na grudzień. Z kolei we wrześniu mój Książę przybywał, może nie na białym rumaku, bo w białym samolocie, ale z zamiarem poślubienia mnie. Oczywiście nie było to zbyt proste, bo polskie prawo intensywnie zniechęca nasze kobiety do wydawania się za obcokrajowców, a już w szczególności pochodzących z takich krajów, gdzie nie wystawia się specjalnych zaświadczeń o braku przeszkód prawnych do zawarcia związku małżeńskiego. Inna sprawa, że nawet jeśli je wydadzą, to polskie urzędniczki i tak znajdą milion innych rzeczy, do których można się przyczepić. A to, że na zaświadczeniu jest napisane, że może brać ślub, ale nie, że może brać go konkretnie ze swoją narzeczoną. Albo akt urodzenia jest po angielsku, a nie w „krzaczkach". I próżno tłumaczyć takiej pani, że jeżeli już robić z tego problem, to akurat dla Pakistanu odpowiedniejsze byłyby „robaczki", a nie „krzaczki", bo z Chinami wspólną ma granicę, nie alfabet. Pani się zna i już! Dlatego ślub cywilny wzięliśmy w Danii. Na wprost nierealnie pięknej i sielskiej wyspie Ærø. Tam potrzebują tylko paszportów i wypełnionego formularza, w którym sami zaświadczamy, że nie posiadamy innych małżonków. Co ciekawe, akt ślubu z Danii można bez problemu przedstawić w Urzędzie Stanu Cywilnego w Polsce i w ciągu jednego dnia otrzymać polski dokument. Kompletny brak konsekwencji, ale przecież nie będę narzekać. Najważniejsze, że się udało.

W naszym wypadku ślub nie oznaczał, że będziemy żyli długo i szczęśliwie, jak w bajkach. Tak naprawdę był to dopiero początek perypetii, które miały nas w konsekwencji zaprowadzić do wymarzonego punktu – wspólnego mieszkania, gdzieś na świecie, prawdopodobnie w Nowym Jorku, gdzie aktualnie mieszkał Książę wraz z rodzicami i siostrami. Zanim to się miało wydarzyć, czekała nas jeszcze batalia o zieloną kartę i moja wielka przeprowadzka. Do tego czasu pozostawały nam wyczekiwane z tęsknotą spotkania, doprawione dodatkowymi atrakcjami, na przykład duńskim ślubem. Odwlekając chwilę rozstania, zgodnie z tradycją udaliśmy się jeszcze

w podróż poślubą. Na nasz tydzień miodowy wybraliśmy piękną, wulkaniczną wyspę Lanzarote, gdzie mieliśmy lecieć z Warszawy.

Korzystając z dwudniowego pobytu w stolicy, spotkaliśmy się z moimi przyjaciółmi, odwiedziliśmy ukochaną perfumerię i… wybraliśmy się na wycieczkę do pakistańskiej ambasady.

W pogodny wrześniowy dzień wysiedliśmy na przystanku autobusowym. Udaliśmy się w stronę ambasady, spod której akurat wyjeżdżał oflagowany samochód, jaki można zobaczyć na filmach. Limuzyna stanęła przed główną bramą, tarasując przejście chodnikiem. Wysiadło z niej dwóch panów. Jeden drugiemu zaczął robić zdjęcia na tle eleganckiej bryki. Urocze. Stałam i patrzyłam jak zaczarowana. Ktoś będzie miał nowe profilowe! Może też powinnam?

Pogapiliśmy się chwilę dla uciechy, samochód odjechał, a my weszliśmy do środka. Skierowano nas do poczekalni, gdzie siedziało już dosyć młode małżeństwo z dzieckiem. Maluch był umiarkowanie grzeczny i cichy, para natomiast wyglądała dosyć depresyjnie. Niczym zmęczeni życiem imigranci. W swoich pakistańskich, kolorowych ubraniach – tak różnych od smutnej polskiej odzieży – paradoksalnie wyglądali podwójnie przykro. Nie sprawiali wrażenia biednych ani ciemiężonych. Po prostu widać było, że nie pasują do życia w tym kraju i nigdy się z nim nie pogodzą. Może nawet najsmutniej jest im pod koniec lata, kiedy ma się świadomość, że przez kolejne kilka miesięcy słońce będzie się pokazywało tylko przypadkiem i tylko na chwilę, ludzie na ulicach staną się jeszcze bardziej naburmuszeni, a ich ubrania jeszcze bardziej szarobure i nijakie. Myślę, że w takiej chwili, w ostatnich promieniach letnio-jesiennego słońca, tęsknota za domem może być najbardziej dominująca.

Patrzyłam na nich i na mojego, jakże innego, jak bardzo zeuropeizowanego męża. Zastanawiałam się, jacy będą ludzie w Pakistanie. Bardziej jak on, a może jak oni?

Rozmyślanie przerwało pojawienie się bardzo grzecznego urzędnika. Książę przedstawił mnie jako swoją żonę – nie wiem, czy kiedykolwiek przyzwyczaję się do bycia czyjąś żoną. W tej chwili słowa *meri wife hai*[2] sprawiają, że na moich ustach pojawia się uśmiech. Nie szczęścia. Rozbawienia. To brzmi tak poważnie i dorośle. Zaczynają rozmawiać ze sobą w urdu, a ja, o dziwo, rozumiem większość konwersacji. Może faktycznie jestem geniuszem językowym? Z wygody nie biorę pod uwagę, że dużo padających właśnie słów jest po prostu po angielsku i pewnie resztę rozumiem z kontekstu. Rozumiem i już! Oczywiście skoro jesteśmy po ślubie, nie będzie żadnego problemu. Mam ubiegać się o wizę rodzinną, wypełnić formularz, załączyć zdjęcia, fotokopie paszportów własnego i męża, kopię naszego aktu ślubu, uiścić opłatę i dostanę wizę. Mogę złożyć podanie pocztą, nie muszę znowu jechać do Warszawy. Proces powinien potrwać dwa tygodnie.

Po powrocie z podróży poślubnej zabrałam się za wypełnianie wniosku wizowego. Kiedy tylko otrzymałam od Poczty Polskiej potwierdzenie dostarczenia dokumentów, zaczęłam obsesyjnie sprawdzać ceny biletów lotniczych, próbując znaleźć w miarę najtańsze, ale optymalne połączenie. W Pakistanie musiałam być już dwudziestego szóstego grudnia na ceremonii *nikkah*. Ale o ile do dni świątecznych moja rodzina ma dosyć luźny stosunek, o tyle Wigilia jest dla nas wszystkich świętością – nie było więc opcji, żebym nie spędzała jej z najbliższymi. W grę wchodziły trzy warianty: Turkish, które miało najlepsze połączenie, jeśli chodzi o czas, Qatar, który byłby idealny, gdyby nie to, że wylot był dwudziestego piątego grudnia z Warszawy o dziewiątej rano, i Emirates, które w ogóle nie wchodziłyby w grę z uwagi na długi czas przesiadek, ale była szansa, że moja ukochana nauczycielka tańca, która porzuciła mnie i w ogóle Polskę, by zostać najpiękniejszą

[2] *Meri*... – To moja żona.

i najseksowniejszą stewardesą, jaką świat widział, będzie mogła załatwić mi tańsze bilety. Przy cenach biletów za minimum cztery tysiące złotych każda zniżka byłaby odczuwalna. Niestety loty były tak obłożone, że nie było już możliwości wykupienia tańszych biletów przez pracowników. Kiedy byłam w zasadzie gotowa zdecydować się na Turkish, przeczytałam, że prawdopodobnie będę mogła mieć tylko dwadzieścia kilogramów bagażu. Tak się po prostu nie da! Facet z biura rezerwacji biletów pracujący czasami dla mojego Taty zapewniał, że byłoby to dwadzieścia pięć kilogramów, ale to i tak nie to samo, co trzydzieści oferowane przez Qatar. Poza tym miałam nadzieję, że na lotnisku w Doha będą perfumy, które w Emiratach kosztują połowę taniej niż w jedynej perfumerii w Polsce, w której są dostępne, a podobają mi się szalenie. Oczywiście Katar to nie Emiraty i niestety nikt o Yas Pefumes tam nie słyszał, ale wtedy o tym nie wiedziałam. Jedynym problemem pozostawał dojazd do Warszawy w noc wigilijną. Rodzice jak zwykle przyszli, a wręcz przybiegli z pomocą, zapewniając, że odwiozą mnie samochodem i zjemy śniadanie świąteczne na lotnisku. Po jakimś czasie, zmotywowana pięciokilogramowym nożem na gardle, pokonałam opory moralne, z dziką wdzięcznością przyjęłam propozycję i ze zgrozą obserwowałam rosnące ceny biletów.

W końcu nie wytrzymałam i zadzwoniłam do ambasady. Dzwoniłam tam kilkukrotnie, bo zwykle osoba, która się moim wnioskiem zajmowała, jadła lunch (nawet kiedy dzwoniłam tego samego dnia o różnych godzinach – to taka podpowiedź, gdyby ktoś szukał pracy marzeń z niekończącą się przerwą obiadową), ale wreszcie się udało. Dowiedziałam się, że następnego dnia odeślą mi paszport przez kuriera. Natychmiast kupiłam bilet, po czym zaczęłam się stresować, czy ten paszport odeślą z wizą czy bez niej, bo jak ostatnia idiotka o to nie zapytałam. Czy wiedzą, na jaki adres, bo niby jest adres na wniosku, ale na tym samym wniosku jest też nowojorski adres mojego męża i pakistański adres jego rodziny. Czy będą na tyle inteligentni, żeby odesłać dokumenty do mnie?

Bycie neurotyczką, jakkolwiek może być przy odrobinie dobrych chęci uznawane za czarujące, zdecydowanie w takich sytuacjach nie pomaga. Na szczęście pracownicy konsularni byli rozgarnięci w stopniu wystarczającym do poprawnej identyfikacji adresu i po dwóch dniach kompletnej nerwicy dostałam paszport z upragnioną wizą.

Przekalibrowałam zatem swoje neurotyczne zapędy i skupiłam się na takich drobiazgach, jak: czemu na bilecie moje imię i nazwisko są zapisane bez spacji i czy to możliwe, że to ja źle napisałam, a jeśli tak, to co teraz?! W Internecie wyczytałam, że to żaden problem i nie mój błąd. Te linie lotnicze tak mają.

Wreszcie wszystko było załatwione i mogłam zacząć przygotowywać się psychicznie do wyjazdu. Mamusia wzięła się za kupowanie tony prezentów, ja dla odmiany stresowałam się pakowaniem (do przewiezienia miałam, oprócz swojej garderoby i miliarda prezentów, garnitur ślubny lubego i jego buty z niemoralnie ciężkimi drewnianymi prawidłami), a Książę zaczął się ze mną kłócić. Innymi słowy – wyjazd zbliżał się wielkimi krokami. I nagle, tak po prostu, rankiem dwudziestego piątego grudnia, kiedy większość odsypiała Wigilię, stałam na Okęciu w krótkiej kolejce do odprawy.

Nie wiem, czego się spodziewałam. Bo tak naprawdę, jeśli chodzi o Pakistan, to nie miałam chyba żadnych oczekiwań. Chciałam, żeby moje kreacje weselne, których przygotowaniem zajmowała się Teściowa, były ładne. To akurat nie wyszło. Ale o tym później.

Teraz należałoby może jeszcze wspomnieć, że temat ubrań na wyjazd budził dość intensywne emocje, żeby nie rzec, iż był zgoła dramatyczny. Mówiąc wprost: prawie się przez niego rozwiodłam. W moim odczuciu wystarczyłoby zasłonić się odpowiednio, założyć długą spódnicę, zabudowaną, nieobcisłą bluzkę, spodnie z normalną, zachodnią tuniką… Po prostu nosić się zachodnio, tylko zachowawczo.

Na wesele przecież mogłabym założyć suknię z naszego nowojorskiego ślubu w meczecie, innego dnia piękną, szmaragdowozieloną (mój mąż jest jednym z nielicznych mężczyzn potrafiących prawidłowo taki kolor zidentyfikować) *lehengę*, którą kiedyś przywiózł mi w charakterze pamiątki z Pakistanu, względnie jedno z wielu *sari*, w których się swojego czasu zakochałam. Otóż nie, nie wystarczyłoby i nie mogłabym.

Dowiedziałam się, że należy nabyć drogą kupna dzikie ilości nowych ubrań, nie tylko wyjściowo-wieczorowych, ale też codziennych. Pakistan to nie Indie. W Pakistanie zwykła, taka właśnie codzienna tunika może kosztować sto dolarów. I ja mam się z tym pogodzić. Żaden z moich argumentów nie trafiał. Na własne życzenie byłam ubezwłasnowolniana. I choć doskonale sobie zdawałam sprawę, że jest to walka przegrana, stwierdziłam, tak po babsku, że tanio swojej wolności nie sprzedam i zanim pozwolę się zamienić w uległą wschodnią małżonkę, pokażę memu szczęściu, jak wygląda prawdziwe piekło na ziemi. A co?! To, że się ze mną nie rozwiódł, a nawet nie storpedował całego pomysłu z wyjazdem, należy mu wpisać do księgi plusów wieczystych.

Wspomnę jeszcze tylko, że w ramach przygotowań do wyjazdu – oprócz niszczenia zdrowia psychicznego mojej drugiej połowy – w prawie nieistniejącym czasie wolnym czytałam książkę napisaną przez Polkę mieszkającą w Karachi. Ciekawostki tam wyczytane konfrontowałam z lubym, zwykle straszliwie go tym denerwując (kto wie, czy nie bardziej niż wyskokami na tle ubioru). Książę radził wyrzucić książkę, twierdząc, że to stek bzdur.

Przykładowe perełki to powszechny brak papieru toaletowego w Pakistanie („za kogo ty nas masz, za dzikusów?"), brak sztućców („wszyscy jedzą sztućcami!") i nienoszenie bielizny („CO?!"). Przeczytawszy to ostatnie, miałam radosną wizję, jak to będę na weselach sprawdzać, czy faktycznie…

Tłumaczyłam też ukochanemu, że przecież muszę wiedzieć takie rzeczy, żeby nie wyszło, iż nie szanuję ich tradycji, kiedy wszyscy zjawią się bez bielizny, a ja w bieliźnie (albo, co gorsza, na odwrót – oni w bieliźnie, a ja bez…). Zamiast zachwycać się moim poczuciem humoru, Książę reagował iście wybuchowo. Widać wizja zachodniej żony szalejącej na forum rodzinnym była dla niego bardziej stresująca niż rozweselająca. Dziwne.

W każdym razie rozwieść się nie rozwiodłam. Mąż w sprawie mojego przyjazdu zdania nie zmienił, nie spóźniłam się na żaden samolot i w końcu około pierwszej w nocy dwudziestego szóstego grudnia wylądowałam na lotnisku Allamy Iqbala w Lahaurze. Wygramoliłam się z samolotu w stanie średnim, potoczyłam z masą ludzką na zewnątrz, a następnie udałam do toalety. Strasznego miejsca w dziwny sposób oblepionego kurzem w okolicach sufitu, a w okolicach podłogi… No właśnie. W Japonii miałam już styczność z toaletami wschodnimi (nowoczesna wersja wychodków wiejskich, czytaj: dziura w podłodze wyłożona porcelanką i mająca funkcję spłukiwania), ale niekoniecznie miałam ochotę przypominać sobie tamte doświadczenia po kilkunastu godzinach podróży, gdy stawy kolanowe jakby się zastały. Jeszcze bym wylądowała polsko-latynoskim („polsko" z pochodzenia, „latynosko" z wyglądu) tyłkiem w pakistańskim wychodku. Wizja niekoniecznie pociągająca. Otworzyłam kolejne drzwi i zobaczyłam toaletę – prawie zachodnią. Prawie, co znaczy, że oczywiście papieru nie było. Problemu też nie było, bywałam wszak w świecie i wiedziałam, że ten wąż niby prysznicowy (bidetką w Polsce zwany) obok toalety służy do obmycia się, zamiast niehigienicznego podcierania. Bardzo fajna inicjatywa, podoba mi się. Niemniej uważam, że papier powinien być, bo przecież mokre trzeba jakoś osuszyć. Ach te różnice kulturowe. Wkroczyłam do toalety zdeterminowana, by brać byki i węże za rogi, i… prawie wylądowałam łbem w toalecie. Warto pamiętać: mokro, czyli też ślisko. Cała podłoga praktycznie pływała. Argh. Odzyskałam równowagę (przynajmniej fizyczną, z psychiczną było gorzej), zrobiłam

siusiu, co w mojej głowie urosło do rangi dotarcia na szczyt K2, umyłam ręce i wypełzłam z grymasem twarzy stanowiącym mieszaninę wrogości i obrzydzenia. Nie wiem, czy to ten wyraz twarzy mnie wydał, czy po prostu emanowałam obcością[3], ale natychmiast podszedł do mnie pan-w-mundurze z karteczką z napisem „Maja", pytając się, czy to na mnie czeka. Przez chwilę miałam ochotę zaprzeczyć i uciec, ale tylko niechętnie pokiwałam głową na potwierdzenie, a on w odpowiedzi, bez zbędnych wyjaśnień, zażądał mojego paszportu. („Zaczyna się. Chcą mi zabrać paszport").

Nie będę szczegółowo opisywać burzy analitycznej, która rozpętała się w moim mózgu wykończonym podróżą, Wigilią i w ogóle wszystkim. Ostatecznie skonkludowałam, że skoro ma moje imię napisane przez „J", a nie „Y", to na pewno wszystko jest w porządku. Nie wiem, nie komentuję, głęboko wierzę, że najwybitniejszym umysłom zdarzają się zaćmienia. Wręczyłam, oczywiście robiąc przy tym groźny grymas, mój paszport panu-w-mundurze i podążyłam pokornie do kontroli paszportowej. Próbowałam się kłócić, że stanął z moimi dokumentami, gdzie jest napisane, iż tylko pakistańskie paszporty, ale machnął na mnie ręką i wbił się bez kolejki. Ja za nim.

Później były jeszcze różne etapy, różne karteczki, pan-w-mundurze bez kolejki i ja niezmiennie za nim. Wreszcie zażądał kwitka bagażowego. Zrezygnowana wręczyłam i kwitek. W końcu razem zawiśliśmy nad taśmą bagażową tak zwaną metodą na sępa. (Ludzie przy taśmach bagażowych zawsze mi przypominają sępy. I zawsze, ale to zawsze oblepiają tę taśmę, mimo że ich bagażu na niej nie ma, zasłaniają widok i blokują przejście. Zwykle olewam ich i krążę w odległości. Czasem, tak dla jaj, powiszę sobie z nimi. Warto

[3] Dla zainteresowanych: w Japonii obcy to *gaijin*, w urdu odpowiednikiem jest *gori*, nie jest to jednak często stosowane.

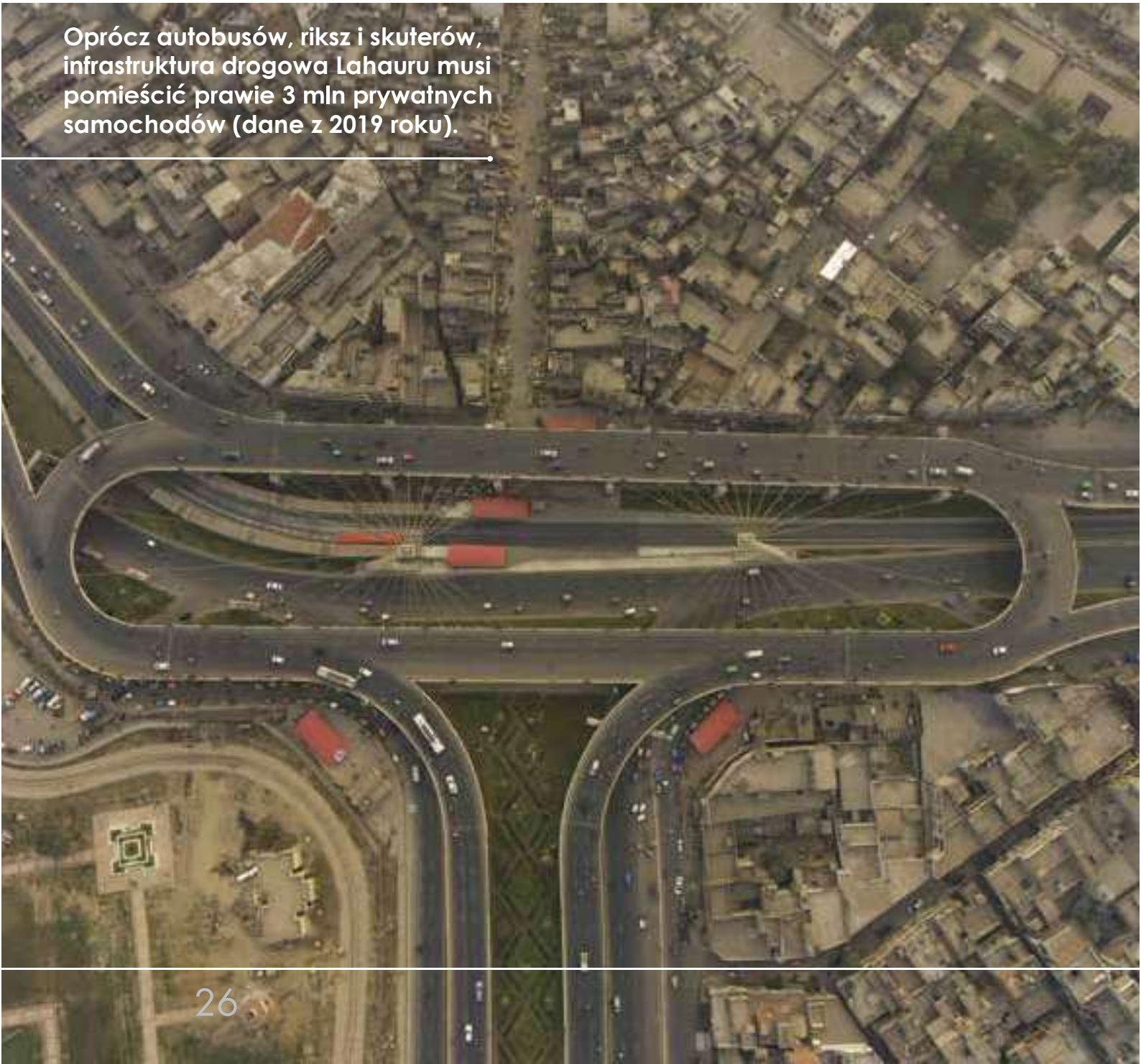
wtedy mieć szeroko rozstawione łokcie i bardzo nieżyczliwy wyraz twarzy. Świadczy to o doświadczeniu i profesjonalizmie. Budzi respekt). Bagaż długo nie przyjeżdżał, pan-w-mundurze wymienił się z drugim panem-w-mundurze, każąc mi *stay here*. Ten drugi-pan-w-mundurze próbował coś do mnie mówić w urdu, ale mój mózg odmówił współpracy. Później znowu się wymienili. Panowie, nie pan z mózgiem. W końcu bagaż przyjechał, wrzasnęłam, że to ten, a pan-w-mundurze stargał go z taśmy (w tym momencie go doceniłam i uwierzyłam, że chce mojego dobra – w końcu było to trzydzieści jeden kilo) i udaliśmy się do wyjścia. Pan-w-mundurze poprowadził mnie prosto do Księcia (uprzedzona nie rzuciłam się na niego z dziką namiętnością, tylko wdzięcznie i z godnością skinęłam mu głową) i pełniącego tej nocy rolę naszego kierowcy Zakiego. Mąż natomiast przywitał mnie pytaniem zwalającym z nóg:

– Jak Ci się podobał protokół VIP?

Że co? To zabieranie mi dokumentów i traktowanie mnie jak niepełnosprawnej umysłowo miało coś wspólnego z byciem VIP? No dobrze, Książę wygląda na zadowolonego z siebie, nie zrujnuję tego do końca, ale mógł mnie przecież uprzedzić. A nie, ot tak, z zaskoczenia obce ludzie do mnie podchodzą i paszport zabierają. W Pakistanie.

Lahaur, stolica pakistańskiego Pendżabu i drugie największe miasto w Pakistanie, powitało mnie umiarkowanymi temperaturami w okolicach dziesięciu stopni – w porównaniu z polską zimą, można więc było powiedzieć, że wyjechałam do ciepłych krajów. Książę opowiadał mi kiedyś, że choć zimy, nawet na północy kraju, gdzie leży Lahaur, są w miarę łagodne, bez śniegu, paradoksalnie jest tam zimniej niż w Europie. Dopiero po jakimś czasie miałam się dowiedzieć, co dokładnie miał na myśli. Podobnie jak w wielu krajach azjatyckich, w Pakistanie nie ma raczej ogrzewania centralnego. Nie ma mrozów, ale temperatura wewnątrz budynków nie różni się specjalnie od tej na

zewnątrz – przynajmniej zimą. Po paru dniach przebywania w kilkunastu stopniach (bliżej dziesięciu), przenikliwy chłód zdaje się przylepiać do skóry, nie dopuszczając nawet odrobiny ciepła. Ale o tym miałam się przekonać dopiero za jakiś czas. Póki co było mi całkiem przyjemnie. Ruszyliśmy do samochodu, a pan-w-mundurze karnie ciągnął moją malusią walizeczkę (kiedy kupowaliśmy ją z Rodzicami w Chile, śmiali się, że to nie walizka tylko ogromny kufer posażny, ale przydaje się na loty z większym limitem bagażu, na przykład WizzAirem na zakupy do Hiszpanii – dużo par butów w niej się mieści). Wokół



Oprócz autobusów, riksz i skuterów, infrastruktura drogowa Lahauru musi pomieścić prawie 3 mln prywatnych samochodów (dane z 2019 roku).

unosiła się gęsta mgła. Wsiedliśmy do samochodu, ruszyliśmy, a wokół wciąż mgła. I kiedy tak jechaliśmy przez puste, pogrążone w upiornej mgle ulice, Książę spytał o pierwsze wrażenia. Jedyne, co byłam w stanie powiedzieć, to:

– *What's with the fog*?![4]

Z widmowych oparów wyłonił się na drodze posterunek i zostaliśmy zatrzymani przez pana-w-poważniej-wygladającym-mundurze-uzupełnionym-większą-bronią-palną. Pan dopytał, kim jesteśmy, skąd jesteśmy i dokąd zmierzamy, następnie… życzył sobie zobaczyć mój paszport. ZNOWU! Okazało się, że ja w ogóle nie miałam prawa na tej drodze przebywać, w moim paszporcie jest coś o terytorium wojskowym, że mi tam nie wolno wjeżdżać, a my akurat wybraliśmy drogę wojskową i ten, no… Puścił nas wolno, a ja dalej radośnie, półświadomie łamałam prawo swą obecnością. Zaki wydawał się nią (tą obecnością) z kolei lekko przytłoczony (poza tym nie znał za dobrze angielskiego), ale wyglądał na miłego.

W końcu dojechaliśmy do celu podróży. Przed nami wyrósł dosyć wysoki mur, za którym krył się duży dom. Książę obiecał, że o tej porze wszyscy będą spali i rodzinkę zobaczę dopiero rano. Widać plan się zmienił. W myślach błogosławiłam decyzję o zainstalowaniu sztucznych rzęs przed wyjazdem. Błogosławiłam ją jeszcze intensywniej, kiedy auto stanęło pod samymi drzwiami, w których czekała Teściowa i moja najstarsza szwagierka Kiran. (Byliśmy pierwsi. Jutro miały przylecieć moje pozostałe dwie szwagierki).

Tutaj znowu krótka dygresja, na pewno nie ostatnia: moje pierwsze spotkanie z Kiran, dwa dni przed moim ślubem, zaowocowało bardzo ognistą dyskusją na temat włosów. Szczerze mówiąc, moje są

[4] *What*… – O co chodzi z tą mgłą? Już po powrocie do Polski doczytałam, że mgła ma też wiele wspólnego ze smogiem, ale wtedy jeszcze nie wiedziałam, że jest tam smog i że aż taki.

średnie, na pewno nieporównywalne z pakistańskimi – tu większość kobiet, choć ponoć nie wszystkie, może pochwalić się grzywą tarpana. Kiran na pewno mogła.

Tamtego dnia spojrzała na moje lekkie piórka zdecydowanie krytycznie, westchnęła głęboko i stwierdziła, że mamy jeszcze trochę czasu, zrobimy mi doczepki. Zaprotestowałam bardzo energicznie, dyskusja trwała i trwała, w końcu stwierdziłam, że po japońskich horrorach mam uraz i straszliwie się boję włosów, do swoich własnych przywykłam, ale i to z trudnością. Wtedy (jeszcze przyszła) szwagierka z widocznym żalem porzuciła wizję doczepek i skupiła się na podkreśleniu tego, że i tak potrzebuję objętości na czubku głowy, bo z *dupattą* (dużą chustą pełniącą funkcję welonu), a bez objętości będę wyglądać fatalnie.

Oczywiście miałam wiele opcji. Niektóre dziewczyny na przykład wypychają włosy watą. Ironicznie zapytałam, czy mogę do tego użyć skarpety. Ironia została zignorowana, a pomysł ze skarpetą potraktowany jako chęć współpracy. Na tym temat zakończyłyśmy, a ja na ślubie wystąpiłam bez objętości. I chyba aż tak fatalnie nie wyglądałam.

Przywitałam się serdecznie, trzepocząc rzęsami, w przelocie obejrzałam dom (jakie ładne meble!) i udałam się z mężem do przydzielonej nam sypialni. Tu nastąpiły sceny powitalne – akcentem humorystycznym jest to, że pewne czynności związane z życiem małżeńskim należy uskuteczniać na przykład przy włączonej telewizji, koniecznie z dźwiękiem. Jak to Książę tłumaczy: kiedy małżeństwu rodzi się dziecię, wszyscy są zaskoczeni („jak to, skąd toto się wzięło?"). Witaliśmy się zatem przy dźwiękach CNN.

Swoją drogą bycie małżeństwem w Pakistanie jest dość specyficzne. Jak pisała Polka mieszkająca w Karachi, w przestrzeni publicznej najlepiej udawać, że się nie znamy. W pewnym momencie naszą ulubioną rozrywką stało się szybkie cmokanie w usta w samochodzie

na ciemnej, koniecznie pustej ulicy, lub w pokoju przy otwartych drzwiach, pod warunkiem, że wszyscy inni byli na dole. Niby nic, ale poziom adrenaliny wzrastał. Życie na krawędzi po prostu. Zupełnie szczerze – żyjąc tak na co dzień, zwariowałabym kompletnie. Przez dwa tygodnie mojego pobytu bawiło mnie to straszliwie. Którejś nocy Książę obudził się nagle i powiedział:

– Tak się cieszę, że nie zrobiliśmy tego jak we śnie.

– Cooo? O co chodzi? Powiedz!

Niestety Książę nie wiedział, o co chodzi i wrócił spać. Rano powiedział, że śniło mu się, jak się całujemy przy otwartych drzwiach i Teściowa ze wstrętem stwierdziła, że moglibyśmy chociaż je zamykać. No moglibyśmy, oczywiście. W każdym razie zaczynam rozumieć, czemu Książę mimo tylu lat spędzonych poza krajem nadal czasami czuje się niezręcznie, okazując czułość w miejscach publicznych. Nie zrozum mnie źle, jestem zdecydowaną przeciwniczką PDA[5]: widok par obściskujących się namiętnie w miejscach publicznych zwykle budzi we mnie lekki niesmak. (Szczególnie jeśli para wydaje się być w to okazywanie uczuć nadmiernie zaangażowana). Ale czasami po prostu chce się do człowieka przytulić, nawet jeśli się jest lekko socjopatyczną mną.

Po powitaniu nastąpiła moja konfrontacja z łazienką. I zgadnij... Nie ma papieru toaletowego. Polka z Karachi pisała prawdę! Triumfuję, a Książę proponuje chusteczki i mówi:

– *We will get you some toilet paper*.

Super. Oczywiście do końca pobytu papieru nie dostałam, ale myślę, że wpłynęło to dodatnio na moje doświadczanie nowej kultury.

[5] *Public display of affection* – publiczne okazywanie czułości.

W Indiach podobno są wychodki na zewnątrz i trzeba uważać, bo często czają się w nich kobry chcące korzystającego delikwenta ugryźć w tyłek. Ostatecznie, w porównaniu z kobrą, wąż z wodą (i bez krwiożerczych intencji!) zamiast papieru nie jest taki zły. Aha. Nie mają też kabiny prysznicowej, tylko prysznic, którym się leje po wsiech. Nadmiar wody z podłogi zgarniania się do dziury odpływowej czymś podobnym do mycia szyb w samochodzie. Po moim pierwszym pakistańskim prysznicu poszliśmy spać, a następnego dnia miała się na dobre rozpocząć wielka pakistańska przygoda.